

Wojna w czasach Facebooka

 rp.pl/Plus-Minus/312309871-Wojna-w-czasach-Facebooka.html

Artur Bartkiewicz

publikacja: 03.01.2016

aktualizacja: 03.01.2016, 07:47



Foto: Plus Minus/Mirosław Owczarek

Czy terrorystom, którzy do nas strzelają, naprawdę możemy przeciwstawić jedynie zmodyfikowane zdjęcie na facebookowym profilu?

Po listopadowym zamachu w Paryżu Facebook zalała fala zdjęć internautów, na które nałożono filtr francuskiej flagi. Zachęcał do tego zresztą sam Facebook, który błyskawicznie udostępnił narzędzie umożliwiające każdemu szybkie i proste zmodyfikowanie swojego zdjęcia profilowego. Z możliwości tej skorzystały miliony użytkowników na całym świecie.

Kiedy jednak minął szok spowodowany niespodziewanym atakiem terrorystów w samym sercu Europy, pojawiły się pytania: czy naprawdę zamierzamy walczyć z IS w ten sposób? „Ze względu na dużą liczbę francuskich flag w awatach na Facebooku zdecydowaliśmy się rozwiązać ISIS” – takich ironicznych memów pojawiło się w internecie niemało.

Gandhi a Facebook

Mahatma Gandhi, ojciec indyjskiej niepodległości i twórca ideologii biernego oporu, w obliczu prześladowań Żydów w III Rzeszy radził im, by „spokojnie i zdecydowanie opierali się bez broni”. Według niego miało to zmusić Niemców do poszanowania godności ludzkiej. Ten sam Gandhi sugerował najechnanym przez faszystowskie Włochy Etiopczykom, by „pozwolili się zmasakrować”. A po układzie monachijskim z 1938 roku, w którym Zachód oddawał

część terytorium Czechosłowacji Niemcom, Gandhi polecił Czechom, by „odmawiając poddania się woli Hitlera, umierali, wychodząc mu naprzeciw z gołymi rękami”.

Co te wszystkie sugestie sprzed niemal wieku mają wspólnego z awatarami na Facebooku? Otóż łączy je to, że nie przystają zupełnie do istoty problemu. Gandhi o niepodległość Indii walczył z demokratyczną Wielką Brytanią – w takim starciu bierny opór pociągający za sobą ofiary mógł się okazać bronią skuteczną. Przeciwnik bowiem musiał się liczyć z opinią publiczną zachodniego społeczeństwa, które zazwyczaj reaguje oburzeniem na masakrę bezbronnych ludzi. W starciu z totalitaryzmem broń ta jednak była nie tylko nieskuteczna, ale wręcz autodestrukcyjna – ułatwia bowiem działanie agresorowi.

Podobnie rzecz się ma współcześnie – gdyby zamachów w Paryżu dokonało państwo, które musi się liczyć ze społecznością międzynarodową, masowe okazywanie solidarności na Facebooku mogłoby być elementem wywieranej na zamachowców presji. Sęk jednak w tym, że w tej wojnie przeciwnikiem Zachodu są ludzie, którzy odrzucają w całości panujący obecnie ład. Dla terrorystów z Państwa Islamskiego mniej liczy się to, czy w ataku na Paryż zginie 130 czy 1000 osób – istotne jest zachwianie poczuciem bezpieczeństwa zachodniej cywilizacji. W związku z tym oburzenie spowodowane przez akty terroru okazywane w wirtualnej rzeczywistości to woda na młyn dżihadystów.

Od awatara czy hashtagu na Facebooku czy Twitterze żaden terrorysta z Ar-Rakki nie zginie, a otrzymuje sygnał: kilku terrorystów potrafi zatrzeć posadami zniechęconego Zachodu. A w grze strachu i terroru właśnie o to chodzi. – Ciemną stroną tego internetowego zjawiska jest fakt, że jest ono czytelnym znakiem dla terrorystów: jednym zamachem mogą wstrząsnąć naszą cywilizacją i za pośrednictwem mediów społecznościowych dotrzeć do całego świata – przyznaje dr Kamila Tuszyńska, medioznawca, psycholog internetu.

Wirtualna solidarność

Osoby, które umieściły na facebookowym profilu trójkolorową flagę, z pewnością w tym momencie zaprotestują: przecież w tym geście nie chodzi o walkę z Państwem Islamskim, ale o okazanie solidarności z dotkniętą tragedią Francją. Z krótkiej sondy, jaką przeprowadziłem wśród własnych znajomych na Facebooku, wynika, że to właśnie taka motywacja kierowała osobami zmieniającymi 13 listopada swoje zdjęcie profilowe.

„To była jedyna dostępna mi forma okazania solidarności z narodem francuskim, który dotknęła tak straszliwa tragedia. To również mój sprzeciw wobec działań terrorystów i opowiedzenie się za wartościami europejskimi” – przekonuje Magdalena, pracownik naukowy z Warszawy. „Mam przyjaciół i znajomych we Francji, więc naturalnym dla mnie było wyrażenie solidarności z nimi poprzez ten prosty gest” – wtóruje jej Marcin, zajmujący się na co dzień piarem. „Chciałam wyrazić solidarność z ofiarami tragedii i ich bliskimi. Poza tym po prostu się wystraszyłam” – pisze z kolei znajoma urzędniczka. „Po co zmieniać zdjęcie? Bo jest szansa, że jeśli masz osoby z Francji w swoim kręgu na Facebooku, to taki symboliczny gest – jeśli zostanie dostrzeżony przez nich jako zjawisko masowe – może dodać im choć cienia otuchy. Może nie musi, jednak na pewno nikomu nie zaszkodzi” – argumentuje Grzegorz, dziennikarz, a jednocześnie doktorant na jednej z uczelni.

– To wszczepione w tożsamość ludzką: dziś zdjęcie na Facebooku, a kiedyś wysyłanie kartek z kondolencjami, zakładanie żałobnego stroju. Ludzie chcą wyrażać solidarność z ofiarami: w naszej kulturze tak jesteśmy wychowywani – podkreśla dr Tuszyńska.

Sęk w tym, że owa solidarność jest nieco „pozorowana” – właśnie przez to, że przez wiele osób ujawniana jest wyłącznie w internecie. – Istnieje spora grupa ludzi, która wykorzystuje media społecznościowe do zwolnienia się z odpowiedzialności za pewne rzeczy. Mają wrażenie, że coś robią, bo biorą udział w jakimś wydarzeniu na Facebooku. I nie ma dla nich znaczenia, że wydarzenie to kompletnie nie ma przełożenia na realny świat. Dla nich ważne jest to, że do niego przystępują. W ten sposób manifestują swoje minimalne cyfrowe zaangażowanie i czują się zwolnieni z jakiegokolwiek dalszego obowiązku: oni już coś zrobili – kliknęli – mówi Jakub Kuś, psycholog nowych technologii z SWPS.

Z kolei dr Tuszyńska, która, jak podkreśla, czuje się silnie związana z Paryżem, ponieważ ma w tym mieście wielu znajomych, przekonuje, że nawet wirtualny akt solidarności ma dla osób dotkniętych tragedią znaczenie. – Moi francuscy znajomi mówili mi: „Wiemy, że awatar z francuską flagą nic nie zmienia, ale to dla nas sygnał, że nie jesteśmy sami, a to bardzo ważne”. Jednocześnie zwraca uwagę na pewien ciekawy szczegół. – Obserwując reakcje internautów na Facebooku, nie spotkałam się z ani jednym bezpośrednim pytaniem o to, czy ktoś nie stracił w Paryżu kogoś bliskiego. To dla mnie było szokujące – pokazało pewną wybiórczość w zachowaniach internautów w mediach społecznościowych – mówi.

Strach ważniejszy niż jego źródło

Dlaczego użytkownicy Facebooka unikali pytań o realne skutki zamachu dla innych użytkowników? Może wynikać to z częściowo terapeutycznego charakteru całej akcji z prezentowaniem francuskiej flagi na swoim profilu. – Atak terrorystyczny w Paryżu był czymś na kształt wtargnięcia chaosu do centrum świata. Większość osób była przekonana, że takie rzeczy w ich świecie się nie zdarzają. Oczywiście wszyscy wiedzą o tym, że w Syrii toczy się jakaś wojna, ale niewiele osób wie, o co w niej chodzi. I nagle ich świat został zaatakowany w piątkowy wieczór, kiedy większość osób zaczyna weekend, bawi się. Nagle wszyscy musieliśmy przestać udawać, że nam w Europie nic nie zagraża. To był taki społeczny coming out: musieliśmy przyznać sami przed sobą, że żyjemy w czasach, w których każdy może się stać ofiarą zamachu – tłumaczy dr Tuszyńska.

To dlatego miliony przedstawiciele McŚwiata zaatakowanego przez dżihad nagle zaczęły odczuwać deficyt bezpieczeństwa – internauci zaczęli więc szukać sposobu na to, by poczuć się nieco pewniej. – Ludzkość zawsze w obliczu zagrożeń szuka wspólnoty. Ale to wspólnota, która istnieje przez pierwsze trzy–cztery dni po tragedii – mówi Kuś.

Ta reakcja na nagły spadek poziomu bezpieczeństwa ma jednak charakter bardzo defensywny. Zamiast spontanicznego stworzenia wspólnoty w rzeczywistości, manifestującej się np. marszami milczenia, internauci wybrali coś, co Jakub Kuś nazywa „bohaterskim siedzeniem na Facebooku”. O ile bowiem wyjście na ulice po zamachach, które właśnie na takich ulicach się wydarzyły, wiązało się z pewnym ryzykiem, o tyle tworzenie wirtualnej wspólnoty w wirtualnej rzeczywistości groziło co najwyżej skrzywieniem kręgosłupa wynikającym ze zbyt długiego siedzenia przed monitorem.

Oswojenie strachu okazuje się więc ważniejsze od walki z samym źródłem strachu. Terrorysty z Państwa Islamskiego, którzy niewątpliwie śledzili to, w jaki sposób Zachód reaguje na ich atak, otrzymali sygnał: przy użyciu stosunkowo niewielkich środków potrafimy sparaliżować strachem naszych przeciwników. Społeczeństwa krajów dysponujących nowoczesnymi systemami broni, ba, posiadających w arsenale broń atomową, zamiast apeli o zniszczenie Państwa Islamskiego, zaraz po zamachu wysyłają za pośrednictwem awatarów na Facebooku sygnał: zamykamy się w domu, boimy się.

Problem ten po części wynika ze specyfiki zachodnich społeczeństw, które robią się coraz bardziej wirtualne. – Badania wykazują, że siedzenie w internecie przekłada się na poczucie bezpieczeństwa. Społeczeństwo trochę się zatraciło – wytworzyła się cyfrowa bańka, w której tkwi grupa ludzi niezdarzących sobie sprawy z tego, że poza internetem dzieją się rzeczy, nad którymi oni nie potrafią zapanować – podkreśla Jakub Kuś. I kiedy rzeczywistość brutalnie wkracza do ich świata, nie mają pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Co robić, co robić?

Kilka dni po zamachu w Paryżu amerykański publicysta Steven Petrow, który jak przyznał, umieścił francuską flagę na swoim awatarze na Facebooku, przypomniał, że każdy internauta – oprócz tego symbolicznego gestu – może zrobić w tej sprawie znacznie więcej. I przedstawił listę propozycji: wsparcie finansowe francuskiego Czerwonego Krzyża lub innej organizacji niosącej pomoc ofiarom zamachu; nieodwoływanie zaplanowanych wycieczek do Paryża – wręcz przeciwnie, wykupywanie takich wycieczek, wreszcie wspieranie organizacji niosących pomoc

uchodźcom z Syrii, którzy uciekają przed ludźmi współodpowiedzialnymi za zamach w Paryżu.

I chociaż wszystkie te działania są osiągalne dla przeciętnego internauty, to jednak próżno szukać choćby apelu o masowe wykupywanie wycieczek do Paryża pod hasłem „Nie damy się terrorystom”. O masowym wsparciu dla organizacji charytatywnych również nie słychać.

– Ludzie nie mieli pomysłu, a nikt im takiego pomysłu nie poddał. Nie mamy doświadczenia w radzeniu sobie z takimi sytuacjami, więc nie wiedzieliśmy, jak się zachować. Gdyby w Polsce ktokolwiek: polityk, dziennikarz albo nawet jakiś anonimowy użytkownik, zorganizował taką akcję, to pewnie wiele osób by do niej dołączyło – tłumaczy dr Tuszyńska. Nikt jednak takiej akcji nie zorganizował, choć tak wiele osób spontanicznie zmieniało swój awatar na Facebooku. Jak wytłumaczyć to zjawisko? Jakub Kuś tłumaczy, że to efekt procesu, z którego mało kto zdaje sobie sprawę. – Okazanie wirtualnej solidarności przez zmianę awataru lub użycie hashtagu wytwarza w ludziach poczucie, że już więcej nie muszą nic robić. Tymczasem w rzeczywistości taki ich akt protestu widzą tylko oni i grono ich najbliższych znajomych. Moim zdaniem to zjawisko będzie się pogłębiało, co pociągnie za sobą potęgowanie bierności społecznej – wyjaśnia psycholog. Co więcej, proces ten – jak tłumaczy Kuś – pomogą umocnić ludzie stojący za największymi portalami społecznościowymi, którzy będą coraz bardziej ułatwiać wirtualne solidaryzowanie się z ofiarami, choćby poprzez tworzenie specjalnych aplikacji do tego służących. Dla nich bowiem oznacza to dodatkowy ruch na stronie, a to z kolei przekłada się na ich zysk.

Dodatkowo doświadczenie pokazuje, że nawet gdyby na Facebooku udało się stworzyć po zamachu terrorystycznym w Paryżu jakąś domagającą się realnego działania wspólnotę, to i tak – najprawdopodobniej – byłaby to wspólnota bardzo nietrwała. – Internet to środowisko bardzo anarchistyczne. Wspólnoty tworzą się tu zazwyczaj doraźnie, są to wspólnoty jednej akcji. Były te rozpraszają się chwilę po tym, gdy osiągną jakiś swój cel albo gdy temat schodzi z nagłówek gazet – tłumaczy Jakub Kuś. I przypomina sprawę ACTA – największy jak dotąd sukces internautów, którym udało się zablokować wejście w życie kontrowersyjnej umowy międzynarodowej. Wtedy wieszczono, że pokolenie ACTA, które „poczuło siłę i czas”, odmieni oblicze polityki. Po pięciu latach wiemy już, że takie pokolenie nigdy się w rzeczywistości nie uformowało.

– Bardzo mało ludzi zaangażowanych w internetowe akcje byłoby w stanie wyjść na ulice, przejść w marszu protestu czy podjąć się jakiejś realnej walki z tym, o co – według deklaracji na Facebooku – chcieliby walczyć – podsumowuje Kuś. Czy można się dziwić, że terroryści, którzy są gotowi umrzeć za swoją sprawę, nie boją się nas?

Bagnet na broń

Na szczęście Zachód wciąż jeszcze, choć z coraz większymi oporami, potrafi odpowiedzieć siłą na terror. Państwo Islamskie od wielu miesięcy jest obiektem ataków powietrznych międzynarodowej koalicji. Ale za broń chwytają też zwykli obywatele, którzy uznają, że w obliczu zagrożenia, jakim jest IS, nie można stać z boku, czekając na to, by problem sam zniknął. Jednocześnie udowadniają oni, że awatar na Facebooku to nie wszystko, na co nas stać.

Do 11 czerwca 2015 roku kurdyjskie jednostki Powszechnych Jednostek Obrony zasililo ok. 400 ochotników z Ameryki Północnej, Australii, Europy i Ameryki Południowej. Wśród nich był m.in. australijski polityk i działacz związków zawodowych (a w przeszłości również żołnierz zawodowy) Matthew Gardiner, amerykański aktor Michael Enright, weteran amerykańskiej armii Jordan Matson, a także byli brytyjscy żołnierze: Jamie Read i James Hughes.

Walczyć z IS wyjechał również Tim Locks, w przeszłości właściciel firmy budowlanej, który jak sam mówi, stwierdził, że „ma wspaniałe życie, pracę i piękny dom”, więc teraz powinien pomóc komuś innemu. Tym, co skłoniło go do takiej refleksji, była masakra jazydów, do jakiej doszło w sierpniu 2014 roku w mieście Sindzar. Już po dotarciu do Iraku stwierdził, że wróci do Wielkiej Brytanii, „kiedy Państwo Islamskie zniknie z powierzchni Ziemi”.

Inny europejski ochotnik, Jim Atherton, by wyjechać do Iraku, sprzedał samochód, motor i łódź. – Poczuję, że muszę to zrobić. Chciałbym, aby moje wnuki wiedziały, jakim jestem człowiekiem. Wkurza mnie to, co robi Państwo

Islamskie. Nikt zdaje się nic z tym nie robić, więc postanowiłem wziąć sprawy we własne ręce – tłumaczył decyzję o wyjeździe na Bliski Wschód 53-letni Brytyjczyk. – Nie jestem przeciw islamowi, nie jestem brutalny i na pewno nie jestem zabójcą. Ale mam zamiar walczyć o wolność za tych wszystkich, którzy nie mogą walczyć – dodał. I trudno nie odnieść wrażenia, że jeden 53-letni Brytyjczyk w Iraku zbliża Zachód do zwycięstwa w wojnie z IS bardziej niż miliony flag na Facebooku.

To wszystko jednak tylko wyjątki od reguły, którą najlepiej oddaje jeden z memów znalezionych w internecie przez dr Tuszyńską. – Zdjęcie przedstawia weterana, który w 2060 roku odpowiada na pytanie dziennikarza o to, jak walczył z IS po zamachach w Paryżu z 13 listopada 2015 roku. „Walczyłem bardzo intensywnie” – odpowiada ów weteran. „Całe dnie zamieszczałem lajki na Facebooku”.